

## MOJA SIŁA – W WAS!

W 29. rocznicę wyboru kardynała Karola Wojtyły na Stolicę Piotrową,  
50. rocznicę powstania pielęgniarstwa parafialnego  
i 40. rocznicę śmierci księdza infułata Ferdynanda Machaya

*Moi Drodzy, pamiętajcie o mnie i wspierajcie mnie. Moja siła w Was! To jest bardzo śmiałe słowo. Trzeba powiedzieć: moja siła z Chrystusa – przez Was! Pamiętajcie! I niech moja siła, siła następcy Piotra, pasterza Kościoła Bożego na ziemi – będzie z Was<sup>1</sup>. Niech chorzy krakowscy, chorzy z całej Polski mają szczególnie swój w tym udział. Dziękuję Wam za to i proszę o to!* – te znamienne słowa wypowiedział Ojciec Święty Jan Paweł II podczas pierwszej pielgrzymki do ojczyzny, 9 czerwca 1979 roku, w kościele oo. Franciszkanów w Krakowie. Podobne słowa do chorych, cierpiących i niepełnosprawnych wypowiadał od pierwszego dnia pontyfikatu.

Kierował je do tych, z którymi tak blisko był od wielu lat, niemal od początku swego kapłaństwa. Których odwiedzał w domach, w chorobie, służąc modlitwą i wspierając zwykłą, codzienną posługą. Dla których zrobił tak wiele, umożliwiając dokładnie 50 lat temu powstanie i rozwój pielęgniarstwa parafialnego.

*Ulica Jabłonowskich. Staruszka z nowotworem mózgu, z raną ogromną, sięgającą brwi. Nieopisanie brudna, z odleżyną. Opieka domowa córki, psychopatki, pracującej 8 godzin dziennie poza domem. Druga córka, schizofreniczka, sama wymagająca opieki, której nie ma. Paznokcie chorej tak długie i grube, że słycać stuk o podłogę, kiedy je obcinamy. Przy obracaniu na bok, wyje i szczypie. Córka, ta przytomniejsza, wyraża obawę: „Czy się mamie aby co nie zaległo w głowie?”. Zaległo się istotnie: wszy sypią się jak piasek i roją się w ranie pod warstwą brudu i maści.*

To fragment zapisków Hanny Chrzanowskiej, córki prof. Ignacego Chrzanowskiego, zasłużonej pielęgniarki, instruktorki pielęgniarstwa domowego w krakowskiej szkole pielęgniarek, która przez długie lata opiekowała się obłożnie chorymi w domach i organizowała dla nich pomoc, co na owe czasy było zupełnie niebywałe. Sytuacja przewlekle chorych w powojennej Polsce była bowiem rzeczywiście bardzo trudna. Nie istniała żadna zorganizowana opieka, nie było wtedy jeszcze ani pielęgniarek środowiskowych, ani opiekunek społecznych i sióstr PCK

– ta praca zaczęła się dopiero w połowie lat 60. Mnóstwo ludzi biednych, chorych, zaniedbanych, kalek i inwalidów, ofiar wojny i przesiedleńców wiodło nędzny żywot, czasem w przerażających warunkach. Zamknięci w swoich domach, z dala od normalnego życia, samotni, zapomniani lub będący powodem wstydu dla rodziny. Nikomu niepotrzebni.



*Chora na raka – w jednym z domów krakowskich*

*Ulica Krakowska (marzec 1957 r.). Młoda kobieta, chora na raka, ryczy tak, że słycać na schodach. Nie z bólu fizycznego, tylko z rozpacz, że zostawia małe dzieci – czytamy dalej w Pamiętniku Hanny Chrzanowskiej.*

*Peryferie na Grzegórkach.*

*Matka gruźliczka odumarta*

*chłopczyka trzyletniego. Chowa się pod opieką stryja – chuligana (ojciec psychopata, dzieckiem się nie zajmuje), łązi po rzece i łowi ryby (listopad) albo wraz ze stryjem łązi po dachach, gdzie łowią wróble. Całe garści wróble zalegają stół – na rosół. Chłopiec jest zdziczały. Stryj zagrożony przez pielęgniarkę sądem decyduje się oddać dziecko do zakładu, a raczej zezwala na umieszczenie. Nie ma miejsca – ale młodziutka pielęgniarka robi awanturę w urzędzie i miejsce się znajduje. Łowy na chłopca, który szczypie, bodzie, pluje i kąsa. W taksówce trochę się uspokaja. W progu zakładu staje olśniony, bo widzi przygotowania do św. Mikołaja (właściwie Dziadka Mroza, bo to rok 1955).*

*Ulica Józefa. Pielęgniujemy 35-letnią kobietę. Ma złamany kręgosłup i obie nogi. Mąż po pijanemu wyrzucił ją przez okno. Z drugiego piętra zleciała „w kucki” i osiadła na kupie śniegu – stąd obrażenie „nieszkodliwe”, operacja, długie miesiące gipsu i wyzdrowienie. Mąż podczas naszej opieki był w więzieniu. Co potem?(Troje dzieci).*

Hanna Chrzanowska знаła dobrze problem opieki nad chorymi w domach dzięki paromiesięcznemu pobytowi na przełomie lat 1946 i 1947 na stypendium w Stanach Zjednoczonych, gdzie pielęgniarstwo potrzebujących w domach doskonale już funkcjonowało i gdzie wiele mogła się nauczyć. Starła się to wprowadzać w życie w Krakowie, przygotowując uczennice Uniwersyteckiej Szkoły Pielęgniarek i Położ-



*Hanna Chrzanowska. Jedno z ostatnich zdjęć*

nych zarówno teoretycznie, jak i – przede wszystkim – praktycznie do pomocy chorym w domach. Osobiście prowadziła je do nich, pokazywała, na czym ma polegać praca, zachęcała i podtrzymywała na duchu w chwilach załamania, gdy sytuacje wydawały się zbyt trudne, by poradziły sobie młode dziewczyny. Uświadamiała, że pomoc i służba mogą dawać radość i szczęście. Uwrażliwiała na różnorakie potrzeby chorych. Dzięki temu pewna ich część miała zapewnioną pomoc, choć oczywiście potrzeby z każdym dniem wzrastały.

Jedną z uczennic Hanny Chrzanowskiej, później także nauczycielka pielęgniarstwa domowego, Zofia Szlendak-Cholewińska opowiada, że „Cioteczce” – bo tak mówiono o Chrzanowskiej – najbardziej zależało na tym, by być przy chorym. Bo istotą powołania pielęgniarskiego nie jest robienie kariery i zdobywanie tytułów naukowych, ale towarzyszenie cierpiącemu i pomoc: pościelenie łóżka, podanie basenu, umycie go, natarcie i naklepanie, by nie miał odleżyn. Pielęgniarka powinna być osobą bliską – siostrą. Przecież dawniej tak właśnie mówiono i to oddawało istotę tej więzi pacjenta z pielęgniarką. I było to najbardziej może odczuwalne w pielęgnowaniu chronicznie chorych w domach.

Dla „Cioteczki” praca przy łóżku chorego to nie było żadne poświęcenie ani wyrzeczenie. To było szczęście i spełnienie, nawet gdy niektóre sytuacje mogły być przerażające. Bo miała w sobie ducha służby i ofiarności: nie można bać się cierpienia, nie można bać się śmierci, jest się po to, by pomóc.

I ta radość była. Jednak z dnia na dzień wzrastała liczba chorych, samotnych, opuszczonych w domach, którzy potrzebowali pomocy. Jednocześnie zmienił się program szkoły i uczennice coraz mniej czasu mogły oddać chorym w ramach praktyk. Odmówić chorym nie sposób – trudno było znaleźć wyjście z sytuacji. Nie można było przecież wymagać wyłącznie pracy charytatywnej, choć i tak nikt nie liczył przepracowanych godzin i poświęcanego czasu. W chwili gdy brakowało już sił, pojawił się ksiądz Karol Wojtyła. Był rok 1957.

Zofia Szlendak-Cholewińska księdza Wojtyłę знаła już wcześniej z widzenia, z codziennych wieczornych mszy świętych w bazylice Mariackiej: *Tak się zdarzyło, że któraś chora będąca pod moją opieką, a mieszkająca przy ul. Grzegórzeckiej, poprosiła o księdza ze spowiedzią, a ja nie znałam nikogusienko innego oprócz tego księdza z kościoła Mariackiego. No więc po którejś mszy św. odważyłam się, podeszłam do niego i zapytałam,*

*czy mógłby odwiedzić taką chorą. – Oczywiście – brzmiała odpowiedź. Umówiliśmy się zaraz na następny dzień i pobiegliśmy rano. Od tej pory już księdzu o tej chorej nie musiałam przypominać – przychodził do niej regularnie, natomiast ja zgłaszałam mu coraz to następne chore potrzebujące duchowego wsparcia i on je chętnie odwiedzał – nie tylko w pierwsze piątki miesiąca. Zawsze, kiedy tylko było trzeba.*

Hanna Chrzanowska i Zofia Szlendak-Cholewińska postanowiły zwrócić się do księdza Karola Wojtyły z prośbą o pomoc w znalezieniu nowych sił do pracy przy chorych, a on w odpowiedzi natychmiast zaprosił je do siebie na ul. Kanoniczą.

Pokój był zadziwiająco prosto urządony. W lewym rogu na podłodze piętrzyła się sterta książek. W prawym rogu – żelazne łóżko, rozpadające się krzesło przykryte żołnierskim zielonym kocem. Przy łóżku

niewielki stolicek, kolek do wieszania sutanny. To wszystko.

*Rozmowa była krótka – wspominała Hanna Chrzanowska. – We mnie się paliło: musisz dopomóc! Słuchał z tym swoim dowcipnym uśmiechem, jakby lekko drwiącym. Nie wiedziałam jeszcze, że mam przed sobą najwspanialszego słuchacza wszelkich spraw. Polecił nam przyjść za kilka dni o godzinie 12.00 do kościoła Mariackiego – tam będzie czekał i zaprowadzi nas do ks. infułata Machaya.*

Ksiądz infułat urodził się w 1889 roku w Jabłonce. Po wyświęceniu na kapłana pracował jako wikary na Orawie, podczas pierwszej wojny światowej był kapłanem w armii austriackiej, w 1918 roku prowadził agitację na rzecz przyłączenia Spisza i Orawy do Polski. W latach 1930–1933 był wikarym w katedrze wawelskiej, a od 1937 do 1944 roku proboszczem parafii Najświętszego Salwatora na Zwierzyńcu. Podczas okupacji niemieckiej udzielał pomocy krakowskiej inteligencji, uchodźcom, Żydom, więźniom, współpracował z AK. Od 1944 roku był archiprezbiterem mariackim. Przyczynił się do odnowienia kościoła Mariackiego, między

innymi polichromii Jana Matejki, i powrotu do bazyliki ołtarza Wita Stwosza. – *Spotkaliśmy się z ks. Wojtyłą przed ołtarzem Chrystusa Ukrzyżowanego i we troje poszliśmy do Prałatówki – czytamy dalej we wspomnieniach Hanny Chrzanowskiej. – Księdza Machaya znałam trochę z kościoła. Byłam u niego podczas okupacji z czyjąś prośbą. Wypadek był nie tylko trudny, ale tragiczny. Uderzyła mnie wtedy prostota i mądrość księdza, który na spełnienie tej prośby zgodził się natychmiast. Ale tego czerwcowego popołudnia o tym nie pamiętałam... On tym bardziej*



*Ksiądz infułat Ferdinand Machay*



*Szesnastoletni Tazio cierpiący na nieuleczalną chorobę – zanik mięśni*

mnie nie poznał. (Ks. Machay wspominał po latach tę chwilę: pamiętam – siedziała pani na tej kanapie z księdzem arcybiskupem i zorientowałem się zaraz, że to coś poważnego).

Nie mogę określić inaczej mojego uczucia jak wściekła pasja. Niechby odmówił! Niechby nie pojął! Przygotowałam sobie na ten wypadek mnóstwo strzał – zamieniłam się cała w kolczan. Przedstawiłam mu krótko sytuację chorych. Brak istnienia pielęgniarstwa domowego w ramach służby zdrowia. Okaleczała placówkę szkoleniową. Konieczność zaangażowania przez proboszcza stałej, płatnej opiekunki chorych. Wielki, siwy, patrzył na mnie spokojnie oczyma, które potem były tak bardzo biedne, a wtedy jeszcze zdrowe. Tak! Zagadnienie chorych jest mu znane jeszcze z parafii Najświętszego Salwatora. Rozumie. Potem rzeczowo: 1000 zł miesięcznie wystarczy?

Wystarczy, potaknęłam olśniona. Przecież to była wówczas płaca większa niż początkującej pielęgniarce. I wtedy powiedział te znamienne słowa, które od razu dały nam wolną rękę i okazały, jak dalece ks. Machay rozumie, o co nam chodzi: „Tylko pamiętajcie, ja z tym nie chcę mieć kłopotów. Wy jesteście fachowcy, a nie ja”.

Odeszłam, mimo triumfu – jak zmyta. Głupie strzały, z których ani jednej nie musiałam wypuścić.

Potem wypadki potoczyły się już szybko. Ksiądz Machay poprosił siostrę Salomeę Majkę ze Zgromadzenia Najświętszej Duszy Chrystusa, pracującą w sklepiku sióstr przy Małym Rynku i mieszkającą w Prałatówce, by matka założycielka zaproponowała jakąś siostrę do pracy. Wybór padł na siostrę Darię Pichet – prawdopodobnie ze względu na jej przygotowanie pielęgniarckie, gdyż jeszcze jako osoba świecka ukończyła szkołę pielęgniarstwa PCK w Poznaniu, a następnie, w 1954 roku, wstąpiła do Zgromadzenia Sióstr Duszy Chrystusowej. Było to stosunkowo młode zgromadzenie, założone przez Służebnicę Bożą Paulę Zofię Tajber.

Siostra Daria zaczęła sama, tylko z pomocą Zosi Szlendak, która była instruktorką w szkole krakowskiej. Ale chorzy byli. Od czerwca do końca 1957 roku było pielęgnowanych 25 chorych z 8 parafii Krakowa. Zaczęliśmy z dziesięcioma palcami bez inwentarza, bez żadnej „bazy materialnej”.

Pierwsze spotkanie Zofii Szlendak-Cholewińskiej z siostrą Darią odbyło się właśnie w sklepiku sióstr na Małym Rynku – wspominała Chrzanowska.

To był początek pielęgniarstwa parafialnego. Alina Rumun, która w 1958 roku zaczęła pracę w pielęgniarstwie parafialnym, wspomina, że ksiądz infułat przeznaczył dla pielęgniarek część swojej jadalni, tam odbywały się przez jakiś czas cotygodniowe raporty, czyli zebrania opiekunek, podczas których załatwiane były różne bieżące sprawy. Tam też, w tak zwanej Prałatówce przy

ul. Szpitalnej, wisiała skrzynka pocztowa, codziennie przez nas otwierana, w której mogłyśmy zostawiać dla siebie niezbędne informacje – chciałyśmy bowiem każdą sprawę czy wezwanie do chorego załatwić możliwie szybko, a nie była to jeszcze epoka szeroko rozpowszechnionych telefonów. Ksiądz Machay, potem już sam chory, interesował się naszą pracą i cieszył nią. Powiedział też kiedyś w rozmowie: „Granice parafii? Przecież miłość Chrystusa nie zna granic”. I przyjmował pod swoje skrzydła chorych z całego Krakowa. Przed śmiercią określił pielęgniarstwo parafialne jako „koronę swojego życia”.

Ksiądz infułat Ferdynand Machay zmarł 40 lat temu, 31 lipca 1967 roku, w Krakowie. Jego pogrzebowi na cmentarzu Salwatorskim towarzyszyły nieprzebrane tłumy. Kondukt prowadził kardynał Wojtyła. W przemówieniu nad trumną kardynał wyraził przekonanie, że z pewnością Matka Boska wzięła teraz tego człowieka – wielkiego duchem i postawą ciała – za rękę, jak małe dziecko, aby go wprowadzić do Domu Ojca. Na grobowcu czytamy epitafium: *Przeszedł przez życie, dobrze czyniąc.*

W ciągu tych dziesięciu lat, jakie upłynęły od spotkania Hanny Chrzanowskiej z księdzem Karolem Wojtyłą i księdzem infułatem Ferdynandem Machayem do śmierci księdza infułata, wydarzyło się bardzo wiele. Już w grudniu 1957 roku, podczas konferencji dla lekarzy, ksiądz Wojtyła mówił: *Opieka nad człowiekiem nieszczęśliwym, opuszczonym, nad chorym, który nie znajduje się wprawdzie w szpitalu, ale w straszliwych warunkach żyje gdzieś w samotności w swoim mieszkaniu, które nie przypomina często miejsca pobytu człowieka. Tę sprawę zasygnalizowały pielęgniarki. I wokół*

*tego zagadnienia toczyła się w Polsce dyskusja na podstawie artykułu w „Tygodniku Powszechnym”, wzbudzającego ogólne zainteresowanie. Na skutek tego w niektórych parafiach została podjęta przez pielęgniarki akcja takiej opieki nad chorymi i jest prowadzona. Ale to jest kropla w morzu, tu trzeba nieporównanie więcej.*

Pierwszy skromny inwentarz, tak bardzo ułatwiający pracę pielęgniarek, został zakupiony właśnie z ofiar czytelników „Tygodnika Powszechnego” po ukazaniu się w numerze 42. w roku 1957 artykułu *Świat nie jest pusty*, napisanego na podstawie przykładów różnych środowisk chorych. – *Pamiętam też sytuację jak z powieści – pisała Chrzanowska. – Właściwie to o najdziwniejszych sytuacjach powieściowych powinno się mówić „niemal jak z życia”. W rogu pokoju, pod czerwoną kołdrą, najczęściej nieobleczonej, leżała przez wiele lat na szerokim, starodawnym łożu 60-letnia kobieta, sparaliżowana, nic niemówiąca, bez kontaktu z otoczeniem. Może i nie cierpiała. W przeciwnym rogu stała kanapka przykryta jakimś starym futrem i koczkami, i różnymi ga-*



Nabawił się reumatyzmu pod Tobrukiem

zetami, gdyż z chorą mieszkał pewien pan, emeryt – i tam właśnie od lat sypiał. Pielęgnował chorą własnymi metodami – podkładał pod nią całe stopy arkuszy papieru, które w razie potrzeby – a te zdarzały się co chwila – zmieniał, a brudne moczył i suszył. Nie pomagały próby, aby je palić, ani obietnice dostarczenia mu ile chciał „Przekrojów” i „Przyjaciółek” – dzienniki rozdzierały się w wilgoci. Ale on miał swoje dziwactwo: „wolę to pracować”. Trudno. Chora nie miała nigdy najmniejszej odleżyny. Zawdzięczała to zapewne i temu, że była przez nas co dzień myta – ale przede wszystkim swojemu pielęgniarzowi. To trwało nie dni, nie miesiące, ale lata. Od tej nieszczęśliwej postaci o bezbarwnej twarzy i oczach bez wyrazu przeniosłam wzrok na portret młodej, pięknej kobiety, wiszący obok. – Tak, to właśnie ona przed czterdziestu laty. Ja się w niej kochałam, ale ona wyszła za mąż za mojego przyjaciela. On już nie żyje. Więc ja się tu przeniosłam po prostu. Po prostu...

A w innym miejscu:

Nadciśnienie dawało mi się we znaki, a musiałam pracować przy chorych całe dni, do późnego wieczora. Nie wiem, skąd brałam siły. Bóg mi je dał, tak że przeżyłam chyba najcięższy okres w całym naszym zwariowanym interesie. [...]

Miałam chorych w zupełnie różnych dzielnicach, ciężkich, trudnych. Pielęgnowałam około siedmiu ciężko chorych dziennie. Do tego ciągłe starania o nowe siły do pracy – bezowocne. Wykańczałyśmy się obie. Gdy byłam już u kresu sił, wezwał mnie do siebie ks. arcybiskup Baziak. Nie tylko zaproponował, ale wprost nakazał mi zaprząć do pracy niedawno przybyłe do Krakowa siostry józefinki.

W 1958 roku ksiądz Karol Wojtyła został pomocniczym biskupem krakowskim – ku wielkiej radości pani Hani. Od tego momentu praca była łatwiejsza – miała swojego opiekuna, a parafie i zakony w wielu sprawach musiały się podporządkować. Alina Rumun wspomina: *Wie pani, oni się tak dobrali jak w korcu maku. Podczas spotkania u ks. Machaya chyba od razu przypadli sobie do gustu i wyniuchali się wzajemnie. Tak to wszystko dobrze się składało i to w odpowiednim czasie, że chyba Pan Bóg miał w tym jakiś bezpośredni udział. Bo działały się rzeczy jakieś przedziwne.*

Już w 1958 roku rozpoczęto przygotowania pierwszych wigilii dla chorych i tych najbiedniejszych, którzy nie mieliby wieczery choćby w sensie odrobiny czegoś dobrego do zjedzenia, nie mówiąc już o obecności kogoś życzliwego. Hanna Chrzanowska obłaskawiła siostry prezentki, które potem latami gotowały te

wigilie, a pielęgniarki zносиły je do domów przy pomocy coraz liczniejszej grupy studentów.

Z czasem praca stawała się coraz bardziej zróżnicowana. To nie była już tylko pielęgnacja chronicznie chorego, ale nawiązanie z nim kontaktu, pocieszenie, zainteresowanie tą osobą kogoś zdrowego, młodego. Przecież tyle było takich zupełnie zabiedzonych, chorych, niepełnosprawnych, młodych ludzi, którzy się niczego po życiu nie spodziewali, a kiedy przyszli do nich studenci, to odzywali, nawiązywali ze sobą kontakty, mogli pojechać do teatru czy kina, na nowo zaczynali się uczyć, niektórzy nawet studiować. Odkrywali, że są ważni i potrzebni, a także dostrzeżeni i dowartościowani. To była także wielka ulga dla rodziny, która znajdowała nie tylko wsparcie w osobie odwiedzającej chorego, ale miała także odrobinę czasu dla siebie, chwilę wytchnienia.

Już w Wielkim Poście 1960 roku biskup Wojtyła razem z Hanną Chrzanowską odwiedził 35 chorych. Stało się to wkrótce corocznym zwyczajem, a później regułą podczas każdej wizytacji w terenie. Czasem także te spotkania z chorymi były spontaniczne. Siostra Serafina Paluszek, felicjanka, wspomina: *Byłam zaangażowana w pracę w parafii św. Szczepana. Chodziłam do chorej, która miała takie wiotkie mięśnie. Trudno było ją pielęgnować. Pamiętam taką sytuację – pani Hanna powiedziała mi, że ksiądz*

*kardynał pragnie odwiedzić tę chorą, ale nie podała terminu. Ja akurat byłam u tej chorej w domu, chciałam ją podnieść i weszłam na łóżko, bo inaczej nie mogłam sobie poradzić, a tu się otwierają drzwi i wchodzi ksiądz kardynał z panią Chrzanowską. Ja skoczyłam z tego łóżka – bo pani Chrzanowskiej to bym się nie wstydziła – ale ksiądz kardynał! Ale on okazał się być taki niekrepujący, taki naturalny, że można było wiele rzeczy przy nim zrobić.*

Interesował się zawsze całością opieki nad chorymi, pomagał Hannie Chrzanowskiej

w załatwianiu wielu spraw. Początkowo proboszczowie nakłaniani przez nią do organizowania opieki nad chorymi w swoich parafiach odpowiadali zazwyczaj, że nie mają u siebie chorych albo że nie mają pieniędzy na taką opiekę. Najczęściej nie zdawali sobie sprawy z tych potrzeb, a przekonani, często zmieniali zdanie, ciesząc się, że dzieje się u nich coś dobrego. Pomimo niemałych trudności udało się w ciągu kilku, kilkunastu lat uaktywnić dużą część parafii krakowskich, a także parafii innych diecezji, na przykład Nowego Targu, Zakopanego, Bielska-Białej, Żywca, Kęt, Skawiny, Chrzanowa, Jaworzna, Oświęcimia i wielu innych.



Kardynał Karol Wojtyła w Trzebini



Kardynał Wojtyła wśród chorych

Po śmierci arcybiskupa Eugeniusza Baziaka w 1962 roku biskup Wojtyła został początkowo wikariuszem kapitulnym krakowskim, a od 1964 roku arcybiskupem ordynariuszem krakowskim. W tym roku w domu rekolekcyjnym księży salwatorianów w Trzebini rozpoczęły się pierwsze w Polsce rekolekcje wyjazdowe dla chorych. Udało się coś, co wówczas, w tamtych warunkach, zdawało się czymś niemożliwym: obłożnie chorzy mogli opuścić swoje domy, wyjechać na kilka dni, odetchnąć świeżym powietrzem, razem modlić się i śmiać, nawiązywać przyjaźnie, poczuć się normalnie. Początkowo, oprócz ciągłej opieki pielęgniarskiej, było tylko dwóch, trzech znajomych studentów, którzy towarzyszyli chorym. W roku 1968 już 25, a później istne tłumy. Dochodziło do dwustu i więcej pomocników, a fama głośiła, że „Trzebiniacy” nie oblewają egzaminów, choć była to właśnie ich pora: maj – czerwiec.

Uczestnicy rekolekcji pisali potem do Hanny Chrzanowskiej:

*Nie dziwi mnie to, że niektóre osoby boją się Trzebini. Gdy mi zaproponowano wyjazd, powiedziałem, że nie mogę. Wydawało mi się niemożliwe, abym ja, taka kłoda drewna, mógł tam egzystować. W warunkach domowych jakoś to wszystko idzie, ale stamtąd chyba zaraz musiałbym wracać. Jednak powiedziałem sobie: „raz kozie śmierć” – i pojechałem. To, co zobaczyłem, przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Tam wszyscy manifestowali swoją radość, że mogą być pomocni. Czas był wypełniony całkowicie. Zdawaloby się, że tylko modlitwą i skupieniem. To było niezwykle połączenie wesołości z nastrojem modlitewnym. Tam się zapominało o chorobie. Tam się czuło radość życia. Rozbawienie całego towarzystwa było ogromne. Na przykład wieczorami musiała pani uspokajać wszystkich słowami: „ciszej, proszę Państwa, ciszej, już dziewiąta, niektórzy chcą już spać...”. Rozmowy były bowiem nader ożywione. Ach, jaki to był fajerwerk dowcipów, gielda kawałów. Nie żadnych prostackich, ordynarnych, tak zwanych pieprznych, bo nawiasem mówiąc – to nie są żadne kawały. Ja z tych rekolekcji wróciłem do domu jak rozanielony i „roztąńczony”, że mnie wprost nie mogli poznać. – „Coś ty taki wesoły?” – stale mnie pytali. – „Byłem na rekolekcjach”. – „No, toś powinien być zamyślony”. – „Tak, ja jestem zamyślony, ale na wesoło”. Taka była moja zwyczajna odpowiedź. To było niezwykle, to połączenie wesołości z nastrojem modlitewnym.*

Arcybiskup, a od 1967 roku kardynał Wojtyła często odwiedzał rekolekcje w Trzebini. Znajdował czas na rozmowę, modlitwę, śpiew, wspólne bycie razem. Ogromnie cenił pracę i wysiłek Hanny Chrzanowskiej. Wspierał jej różne inicjatywy, widząc w nich dobro chorego. Z jego inicjatywy, w 1965 roku, Hanna Chrzanowska otrzymała od Ojca Świętego Pawła VI krzyż *Pro Ecclesia et Pontifice* („Za Kościół i Papieża”) – ustanowiony przez Leona XIII w 1888 roku, a przyznawany przez papieża na wniosek biskupa diecezjalnego w dowód uznania dla postawy moralnej i zaangażowania w pracę na rzecz dobra

wspólnego. A podczas pogrzebu Hanny Chrzanowskiej na cmentarzu Rakowickim w 1973 roku kardynał Wojtyła powiedział: *Dziękujemy Bogu za to, że byłaś wśród nas taka, jaka byłaś, z tą Twoją wielką prostotą, z tym wewnętrznym spokojem, a zarazem z tym wewnętrznym żarem, że byłaś wśród nas jakimś wcieleniem Chrystusowych błogosławieństw z Kazania na Górze, zwłaszcza tego, które mówi: „błogosławieni miłosierni”. Że byłaś jakąś zapowiedzią tych ostatnich słów, które usłyszymy wszyscy. – Ty je już słyszałaś, chyba szczególnie w tych ostatnich słowach uwy-*



*Siostra Serafina Paluszek przekazuje medale Alinie Rumun*

*datnił Pan Jezus to: „Byłem chory, a zaopiekowaliście się mną”. Byłem chory naprzód w różnych klinikach i szpitalach Krakowa; byłem chory w różnych domach, na poddaszach, w suterrenach, byłem chory i często całymi tygodniami zapomniany od ludzi – znalazłaś mnie albo sama, albo przez Twoje siostry, zaopiekowałaś się mną...*

Ojciec Leon Knabit, benedyktyn z Tyńca, który przez wiele lat współpracował z Hanną Chrzanowską, podkreśla, że miała cudowny sposób doradzania. – *Nie było to nigdy wsadzanie nosa w nie swoje sprawy, mędr-*

*kowanie czy dyktowanie. Wchodziła w problem z miłością, z ciepłem, które sprawiało, że chętnie i z radością rozmawiało się o różnych sprawach. Siebie natomiast nigdy nie narzucała, umiała usunąć się w cień, więcej – z zadziwiającą godnością znosiła fakt, że nie zauważył jej ktoś, od kogo mogła się tego spodziewać.*

Zofia Szlendak-Cholewińska wspomina: *Nie odstępowała od tego, że pielęgniarstwo to jest najpiękniejsze powołanie. Najpiękniejsza służba. I ona była tak szalenie radosna w tym swoim służeniu. Tak nieprawdopodobnie szczęśliwa. Ona uczyła największej Bożej miłości, Bożego miłosierdzia.*

31 sierpnia 2007 roku, z okazji 50. rocznicy powstania pielęgniarstwa parafialnego i 40. rocznicy śmierci księdza infułata Ferdynanda Machaya, kardynał Franciszek Macharski odprawił uroczystą mszę świętą w kościele Mariackim. Następnie w sali obrad Urzędu Miasta Krakowa Alina Rumun, absolwentka Uniwersyteckiej Szkoły Pielęgniarskiej i Położniczej w Krakowie z 1945 roku, wieloletnia współpracownica Hanny Chrzanowskiej i kontynuatorka jej dzieła, została uhonorowana Medalem Florence Nightingale, najwyższym międzynarodowym odznaczeniem pielęgniarstwu, przyznawanym przez kapitułę Czerwonego Krzyża co dwa lata tylko 38 pielęgniarkom na całym świecie. W imieniu chorej Aliny Rumun medal odebrała siostra felcjanek Serafina Paluszek, także pielęgniarka i współpracownica Hanny Chrzanowskiej. Wiceprezydent Krakowa Wiesław Starowicz przekazał także przyznaną Alinie Rumun odznakę *Honoris Gratia*, a ksiądz Władysław Pilarczyk – Medal im. ks. Ferdynanda Machaya.

Alina Rumun zmarła dokładnie dwa tygodnie po odebraniu medali, 14 września 2007 roku.

**Marzena Florkowska**

Autorka dziękuje Helenie Matodze za życzliwość i pomoc w zbieraniu materiałów.